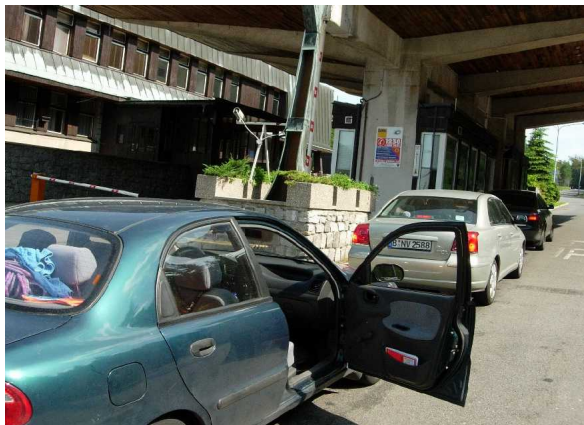




**W**yjazd na Berninę miał być dla niektórych z nas „poligonem” przed planowanym na lipiec wyjazdem na Kaukaz i próbą wejścia na Uszbe a dla innych pierwszym kontaktem z wysokimi górami i tego typu wspinaczką. Dla mnie przede wszystkim miał to być sprawdzian możliwości mojej nogi dotkliwie pokiereszowanej podczas marcowych wspinaczek w dol. Wielickiej. Dlaczego właśnie Bernina 4049 m. npm.? Góra ta spełniała nasze potrzeby z kilku względów a mianowicie jest to czterotysięcznik na którym mogliśmy się aklimatyzować przed Kaukazem, leży na tyle blisko że mogliśmy pokusić się na wyjazd tylko pięciodniowy oraz technicznie jest na tyle łatwa że mogli wyjechać osoby mniej doświadczone.

Wyjazd rodził się w bólach ale mimo przeciwności napotkanych przez niektórych



uczestników wieczorem 20 czerwca samochód marki Daewoo z nami na pokładzie wyruszył w kierunku Alp. Podczas przydługawej podróży każdy na swój sposób modlił się o pomyślne zakończenie przygody. Do dyspozycji mieliśmy tylko pięć dni podczas których musieliśmy dojechać na miejsce, wspiąć się na górę, zejść na dół i wrócić do Polski. Początek naszej wędrówki z parkingu przy schronisku Campo Moro. Okolica wyglądająca jak wielki kamieniołom z ogromnym sztucznym jeziorem Alte Garda.

Początek wędrówki to dość ostre podejście wystawione na palące południowe słońce. Potem



już było nieco łatwiej. Do pierwszego schroniska Carate Bianca 2636 krajobraz raczej znany z Karkonoszy ale po przekroczeniu przełęczy to się zmieniło. Przed nami masyw górski poprzecinany lodowcami. Powiało górską przygodą no i chłodem. Paweł z Darkiem nie wypuszczali aparatów z dłoni. Od schroniska droga prowadzi nieco w dół czyli zdobytą wysokość szybko się traci by po kilkuset metrach ruszyć znowu ostro w górę do schroniska Marinelli Bombardieri 2813. Podczas tego etapu pogoda wyraźnie się psuła i wkrótce po dojściu do schroniska rozpadało się na dobre. W schroniskowej kuchni chcieliśmy przecześć złą pogodę lecz ta nie chciała się zmienić. Przed nami szmat drogi więc ruszyliśmy dalej. Tu należy dodać że droga nam

się nieco przedłużyła z powodu problemów orientacyjnych oraz nadmiernemu zaufaniu do znaków namalowanych na skałach. Kilka godzin wystarczyło aby dotrzeć do wysokości 3000 m skąd nazajutrz wczesnym rankiem mieliśmy wyruszyć na szczyt. Miejsce na biwak wybraliśmy bardzo starannie ze względu na spadające kamienie z pobliskich gór. Aha przestało padać.



Przy okazji rozbijania namiotów podziwialiśmy nasz nowy nabytek czyli śliczny żółty Marabut. Zmęczeni dość szybko pochowaliśmy się w swoich śpiworach.

Rankiem szybkie śniadanie i w drogę która na początku prowadziła piargami w dół a potem przez lodowiec który zamarznięty o tej porze sprawnie przeszliśmy.



Dalsza droga prowadziła bardzo ostro w górę pomiędzy skalnymi ścianami z których od czasu do czasu spadały kamienie. Skalną ścianę do schroniska Marco e Rosa 3600 pokonaliśmy bardzo eksponowaną via ferratą. Przy schronisku byliśmy ok. 10<sup>00</sup> a stąd mieliśmy ok. 3h do szczytu.

Pierwsze kroki w kierunku szczytu nie wróżyły dobrze śnieg był świeży i zapadaliśmy się po pas. Podejście stawało dęba przed nami a sypki śnieg nie ułatwiał nam zadania. Już w rakach i z czekanami w

rękach doszliśmy do miejsca z którego szczyt wydawał się być na wyciągnięcie ręki. Była godzina 13<sup>00</sup> i słońce czyniło spustoszenie na górze a nasze dalsze droga prowadziła trawersem pod skalnym wzniesieniem z którego sypało kamieniami. Podeszliśmy jeszcze kilka metrów w górę i



kilkanaście metrów wąską granią. Dalsza droga wydawała się „do zrobienia” ale spadające kamienie czyniły ją bardzo niebezpieczną. Decyzja trudna ale jedyna właściwa – odwrót. Powrót na dół nie mniej ciekawy a to z tego powodu że ze szczytów leciały kamienie no i lodowiec stał się mniej stabilny. Na lodowcu niebezpieczna przygoda o której nie można tutaj wspominać gdyż czasem strony klubowe odwiedzają nasze żony. Na biwaku byliśmy o godzinie 20<sup>00</sup> co dało nam 16 akcji górskiej. Wieczorem marzenia o trunkach które niestety a

może na szczęście zostały w bagażniku.

Czekała nas jeszcze jedna noc w górach. Rankiem tą samą drogą ale już w dół zeszliliśmy do samochodu.

Pomimo tego że nie stanęliśmy na szczycie zrealizowaliśmy nasze założenia jeśli chodzi o przygotowania do lipcowego Kaukazu a każdy z nas wrócił do Polski z cennym bagażem doświadczeń.



Podziękowania: Pawłowi za uratowanie mojego „tyłka” – dzięki Paweł  
Dla Darka za bezpieczne zawiezenie nas swoim autem.



Arek Oszutowski

czerwiec 2006

Fotografie autorstwa: Paweł Pękała i Darek Pietroczyk

